

Rozdział pierwszy

Ziemia

1. Punkt wyjścia

Pewnego razu rozgoryczony wyszedłem wieczorem z domu, aby wspiąć się na wzgórze. Brnąłem wśród ciemnych wrzosów, w dole ciągnął się szereg podmiejskich latarni. Okna z zaciągniętymi zasłonami przypominały zamknięte, zwrócone do wewnątrz oczy, które chcą oglądać życie snów. Nad ciemną płaszczyzną morza pulsowała latarnia morska. W górze – mrok.

Wypatrzyłem z wierzchołka nasz dom, wysepkę położoną pośród burzliwych i cierpkich strumieni świata. To właśnie na niej przez piętnaście lat my dwoje, ludzie skrajnie różniący się charakterologicznie, jak gdyby coraz bardziej wrastaliśmy w skomplikowanej symbiozie jedno w drugie, szukając w sobie nawzajem wsparcia i pożywki. To właśnie na tej wysepce snuliśmy plany na przyszłość, a także odliczaliśmy dziwne zdarzenia i przykrości mijającego dnia. To tutaj rosła sterta listów, na które dopiero należało odpowiedzieć, a także sterta skarpetek do zacierowania. Tu urodziły się nasze dzieci, nagle powstałe nowe istoty ludzkie. Tam, pod tym dachem, nasze dwa istnienia, chociaż czasami ze sobą skonfliktowane, szczęśliwie przez cały czas stanowiły mimo wszystko jedność, składając się na jeden większy i bardziej świadomy byt niż dwa osobne żywoty, które moglibyśmy pędzić niezależnie od siebie.

Wszystko to niewątpliwie było dobre, a przecież pojawiały się gorycz i przykrości. Nie tylko takie, które atakowały nas ze świata zewnętrznego – niektóre miały źródło w naszym własnym zaczarowanym kręgu. Na wzgórze nie wyгнаło mnie więc jedynie delirium świata, lecz także przerożenie daremnością naszego istnienia – naszą nierealnością.

Pędziliśmy wciąż od jednego małego, ale pilnego zajęcia do drugiego, rezultaty naszych wysiłków okazywały się jednak znikome. Czy to możliwe, że wyrobiliśmy sobie błędne mniemanie co do całej naszej

egzystencji? Czyżbyśmy, by tak powiedzieć, żyli w oparciu o błędne przesłanki? A zwłaszcza czy nasz związek, ów z pozoru solidny punkt podparcia, umożliwiający nam działanie w świecie, nie był w ostatecznym rozrachunku niczym innym, jak tylko niewielkim kręgiem zadowolonej z siebie i wrośniętej w nasze serca swojskości, bezskutecznie wirującym na powierzchni olbrzymiego strumienia i nie posiadającym w swej istocie jakiegokolwiek ontologicznej głębi ani znaczenia? Czyżbyśmy mimo wszystko sami się oszukali? Czy za tymi jak gdyby zatopionymi w rozmyślaniach oknami my też, jak wielu innych ludzi, rzeczywiście żyjemy tylko snem? W chorym świecie chorują nawet ludzie krzepcy – a my dwoje, ledwo się trzymający głównie dzięki wspomnieniom, rzadko zaś z jasnym zrozumieniem rzeczy i stanowczo wytyczonym celem, byliśmy przecież wytworami chorego świata.

A jednak nasze życie nie okazało się tylko czystą i jałową fantazją. Czyż nie zostało utkane z autentycznych włókienek rzeczywistości, które zbieraliśmy wchodząc i wychodząc przez drzwi naszego domu, w owej wymianie handlowej, jaką prowadziliśmy z przedmieściami, miastem, odleglejszymi metropoliami i najdalszymi zakątkami Ziemi? I czyż wspólnymi siłami nie tkaliśmy z nich autentycznego obrazu naszej natury? Czy nasze życie nie sączyło się co dzień w postaci mniej lub bardziej wytrzymałych nici aktywnego istnienia i nie wplatało w coraz większą sieć, w złożoną i wiecznie rozrastającą się tkaninę ludzkości?

Zastanawiałem się nad „nami” z cichym zainteresowaniem i czymś w rodzaju lęku, ale przecież pełnego rozbawienia. Jak mógłbym opisać nasz związek choćby na swoje potrzeby, nie deprecjonując go albo nie uwłaczając mu krzykliwą dekoracją sentymentalizmu? Bo przecież delikatna równowaga zależności i niezależności – czyli nasza krytycznie chłodna i podstępnie drwiąca, lecz pełna miłości wzajemna relacja – bez wątpienia stanowiła mikrokosmos autentycznej wspólnoty, a w swej prostocie była pomimo wszystko prawdziwym, żywym przykładem tego wzniesłego celu, którego szuka świat.

Cały świat? A może Wszechświat?¹ Mrok, który mnie podsłuchał, od-
słonił jakąś gwiazdę. Pojedynczą drżącą strzałę światła, wystrzeloną nie
wiedzieć ile tysięcy lat temu, która moje neurony ugodziła iluminacją,
serce natomiast strachem. Albowiem jakie znaczenie w takim Wszech-
świecie jak ten może mieć nasza szczęśliwa, krucha i efemeryczna wspól-
nota?

W tej chwili odczułem też jednak przemożne pragnienie oddania
czci... Nie, na pewno nie tej gwieździe, zwyczajnemu rozpalonemu pie-
cowi, fałszywie uświęconemu chociażby przez dzielącą nas odległość,
lecz czemuś innemu – temu, co dla mojego serca oznaczał przerażający
kontrast pomiędzy tą gwiazdą i nami. Co jednak się za nim kryło? Spo-
zierający poza gwiazdę intelekt nie widział na niebie żadnego Twórcy
Gwiazd, lecz wyłącznie ciemność; nie widział Miłości ani nawet Mocy,
lecz jedynie Nicość. A mimo to moje serce coś chwaliło.

Z niecierpliwością odpędziłem od siebie te głupie myśli i zwróciłem
się od niepoznawalnego do tego, co znajome i konkretne. Odsuwając
na bok część religijną, a także strach, przykrości i urazy, postanowiłem
zbadać chłodniejszym okiem zdumiewających „nas”, ten zaskakująco
imponujący punkt odniesienia, który w naszym mniemaniu pozostaje
czymś fundamentalnym dla Wszechświata, chociaż w obliczu gwiazd
wydaje się taki błahy.

Oglądani nawet bez porównania z pomniejszającym nas kosmicz-
nym tłem byliśmy przecież zjawiskiem całkowicie pozbawionym zna-
czenia, być może absurdalnym. Zupełnie zwyczajni, banalni i normalni
ludzie. Po prostu małżeństwo starające się żyć razem wbrew wszyst-
kiemu bez zbędnego wysiłku. Instytucja małżeństwa stała się jednak
w naszych czasach podejrzana. A nasze małżeństwo i jego trywialny,
romantyczny początek, wydawały się podejrzane podwójnie.

Poznaliśmy się, kiedy moja żona była jeszcze dzieckiem. Spotkały
się nasze spojrzenia. Patrzyła na mnie przez chwilę z milczącą uwagą,

1 Wszechświat pisany w polskim przekładzie wielką literą oznacza nasz Kosmos; pisany małą
odnosi się do wszystkich innych potencjalnych i „realnych” kosmosów lub galaktyk w powieści;
zob. też *Słowniczek* na końcu książki (wszystkie przypisy tłumacza).

a nawet, jak sobie romantycznie wyobrażałem, z niejasnym, lecz głębokim uznaniem. Z kolei ja ujrzałem w jej oczach (a przynajmniej tak sobie wmawiałem w gorączce młodości) swoje przeznaczenie. Tak! Nasz związek wydawał mi się predestynowany! Teraz jednak, z perspektywy czasu, mam go za kompletnie przypadkowy! Jest oczywiście prawdą, że jako małżeństwo z długoletnim stażem pasowaliśmy do siebie całkiem dobrze, niczym dwa rosnące obok siebie drzewa, splecione w górze nawet w jeden pień, a więc przeszkadzające sobie, ale i podtrzymujące się nawzajem. W tym momencie na zimno zakwalifikowałem swoją żonę jako pożyteczny, chociaż często przyprawiający mnie o gniew dodatek do mojego osobistego życia. Generalnie rzecz biorąc, byliśmy jednak dla siebie rozsądnymi towarzyszami. Zostawialiśmy sobie margines wolności i dlatego potrafiliśmy znosić swoją bliskość.

Tak wyglądał nasz związek, a przedstawiony w tym świetle nie sprawiał wrażenia czynnika istotnego dla zrozumienia Wszechświata. W głębi duszy wiedziałem jednak, że właśnie jest istotny. Nawet zimne gwiazdy, niezmierny Kosmos² i cały jego absurdalny ogrom nie mogły mnie przekonać, że ten cenny małżeński atom wspólnoty, choć obciążony niedoskonałością i z konieczności szybko przemijający, naprawdę jest nieważny.

Czy jednak ów niedający się opisać związek rzeczywiście ma znaczenie wykraczające poza samego siebie? Czy dowodzi na przykład, że podstawową skłonnością natury ludzkiej jest raczej miłość niż nienawiść i strach? Czy jest świadectwem tego, że wszyscy ludzie, mężczyźni i kobiety, są w głębi duszy zdolni, by nawet wbrew okolicznościom zewnętrznym podtrzymywać istnienie ogólnowswiatowej wspólnoty, opartej na miłości? I co więcej, czy będąc wytworem Kosmosu związek ten dowodził, że miłość jest w jakimś sensie jednym z podstawowych składników Wszechświata? A czy z powodu inherentnej wspałości, jaką w nim wyczuwaliśmy, dostarcza gwarancji, że jego wůli zwolennicy, my dwoje,

2 Kosmos pisany wielką literą oznacza nasz, to znaczy znany dzisiaj ludzkości Wszechświat; pisany z małej litery odnosi się do innych wyobrażonych w powieści kosmosów, przeszłych, przyszłych lub współistniejących w czasie z naszym.

zostaliśmy w pewnym sensie obdarzeni życiem wiecznym? Czy, mówiąc wprost, dowodzi, że miłość to Bóg, który czeka na nas w raju?

Nie! Nasza swojska, przyjazna, irytująca, skłaniająca do śmiechu i nieupiększona, chociaż niezwykle cenna wspólnota duchowa nie doprowadziła żadnej z tych rzeczy. Nie była gwarancją niczego poza własną niedoskonałą słusnością. Nie była niczym więcej niż niesłuchanie małym, radosnym ucieleśnieniem jednej z wielu potencjalnych możliwości istnienia. Przypomniałem sobie roje ślepych gwiazd, burzę niewiści, strachu i cierpień, składających się na ludzki świat, jak również nasze własne, i to wcale nierzadkie, nieporozumienia. A także to, że już bardzo niedługo znikniemy niczym zmarszczka, którą na powierzchni stojącej wody tworzy na chwilę wiatr.

Raz jeszcze odczułem nadzwyczajny kontrast pomiędzy gwiazdami i człowiekiem. Nieobliczalny potencjał Kosmosu w zagadkowy sposób uprawomocniał istnienie krótkiej iskry naszej wspólnoty oraz krótkiego, niepewnego dzieła ludzkości – one zaś z kolei ożywiały Wszechświat.

Usiadłem pośród wrzosów. Mrok nad moją głową cofał się już teraz na całego. W jego głębi wyskakiwała z ukrycia oswobodzona populacja nieba, jedna gwiazda za drugą.

Cieniste wzgórza albo bezkształtne morze, którego obecności mogłem się tylko domyślać, rozciągały się dokoła ze wszystkich stron poza zasięgiem wzroku. Sokoli lot mojej wyobraźni podążał jednak ich śladem, tam gdzie się zakrzywiały ku dołowi, poniżej horyzontu. Uświadomiłem sobie, że stoję na małym, okrągłym ziarnku skały i metalu powleczonym błoną wody i powietrza i wirującym wokół własnej osi w blasku słońca i w ciemności. Na skórcie tego ziarenka żyły chmury ludzi, ich kolejne pokolenia, w znoju i ślepotcie, niekiedy się radując, a czasem dostępując nawet duchowej jasności. Lecz cała ich historia wraz z wędrownkami ludów, imperiami, filozofiami, dumnymi dyscyplinami naukowymi, rewolucjami społecznymi i bezustannie zwiększającym się pragnieniem wspólnoty była zaledwie mgnięciem w jednym dniu życia gwiazd.

Ach, gdyby dało się dowiedzieć, czy pośród tych świecących jasno zastępów znajdują się inne podobne ziarenka ze skały i metalu zamieszkane przez jakieś obdarzone duchem stworzenia – i czy nieporadne ludzkie poszukiwania mądrości i miłości to tylko pojedyncze i nieistotne drgnięcie, czy raczej część powszechnych dążeń poznawczych w Kosmosie!

2. Ziemia wśród gwiazd

Mrok nade mną zniknął. Jak okiem sięgnąć niebo zmieniło się w jeden nieprzerwany kobierzec gwiazd. Patrzyły na mnie – w ogóle nie mrugając – dwie planety, a co bardziej natrętne konstelacje potwierdzały swoją indywidualną tożsamość. Czworokąt ramion oraz stóp Oriona, jego pas i miecz, Wielki Wóz, zygzak Kasjopei oraz pozostające ze sobą w bliskiej zażyłości Plejady – wszystkie te gwiazdozbiory wyraziście odcinały się na tle ciemności. Droga Mleczna³, mglista świetlna obręcz, kładła się łukiem na niebie.

To, czego nie mogło dosięgnąć nieuzbrojone oko, uzupełniła wyobraźnia. Popatrzywszy w dół, odniosłem wrażenie, że przenikam spojrzeniem przezroczystą roślinność, wrzosa, litą skałę, pogrzebane w ziemi cmentarzyska wymarłych gatunków zwierząt i roślin, a potem potoki roztopionego bazaltu i wreszcie dostrzegam żelazne jądro Ziemi. Spojrzałem jeszcze głębiej, znów wydawało mi się, że patrząc niżej, przebijam wzrokiem warstwy geologiczne na południowej półkuli, jej morza i lądy, korzenie drzew kauczukowych, chodzących do góry nogami mieszkańców Antypodów, błękitną, przeciętą słońcem markizę ich dnia i sięgam jeszcze dalej, w wieczną noc, gdzie bytują wspólnie Słońce i gwiazdy. Tam bowiem, tak daleko poniżej Ziemi, że aż zakręciło mi się w głowie, znajdowały się dolne konstelacje, skryte niczym ryby w głębinach jeziora. Obie kopuły niebieskie zespoliły się w zaludnioną gwiazdami jedną pustą kulę, czarną nawet w pobliżu oślepiającego Słońca. Księżyc

3 Potoczna nazwa naszej Galaktyki zapisywanej w przekładzie wielką literą; galaktyka pisana literą małą oznacza dowolną inną galaktykę poza Drogą Mleczną, w naszym lub innym kosmosie.

w pierwszej kwadrze wyglądał niczym łukowaty, fosforyzujący drucik, a obręcz Drogi Mlecznej krążyła w środku Wszechświata.

Owładnięty dziwnymi zawrotami głowy szukałem pokrzepienia w połyskujących okienkach naszego domu. Wciąż były na swoim miejscu, podobnie jak wzgórza i przedmieścia, lecz światło gwiazd przebijalo wszystko na wylot. Wyglądało to tak, jak gdyby każdy ziemski obiekt i artefakt zrobiony był ze szkła albo z jakiegoś jeszcze bardziej przezroczystego i eterycznego, krystalicznego tworzywa. Zegar na wieży kościelnej słabo wybił północ. Pierwsze, jakby oddalające się uderzenie, zabrzmiało niewyraźnie.

Moja wyobraźnia została pobudzona na nowo i wprowadzona w dziwny stan percepcyjny. Przenosząc wzrok z gwiazdy na gwiazdę, postrzegałem niebo już nie jako sufit i podłogę usiane klejnotami, lecz jako dalszą otchłań rozciągającą się poza bliższą otchłanią, pobłyskującą słońcami. I chociaż na ogół wielkie i znajome światła niebios znajdowały się na pierwszym planie, były bowiem naszymi najbliższymi sąsiadami, to dało się zauważyć, że niektóre jasne gwiazdy są bardzo odległe od Ziemi i potężne, a niektóre niewyraźne światła widać wyłącznie dlatego, że znajdują się blisko. W pół drogi do nieboskłonu ze wszystkich stron mieniło się mnóstwo wielkich skupisk i strumieni gwiazd, lecz nawet one zdawały się teraz bliskie, Droga Mleczna wycofała się bowiem na nieporównywalnie dalszą odległość – a przez prześwity w jej bliższych Ziemi fragmentach jedna za drugą otwierały się przede mną kolejne pejzaże mgławic świetlnych i dalekie perspektywy na populację gwiazd.

Wszechświat, w którym umieścił mnie los, wcale nie wyglądał jak usiana gwiazdami komora, lecz przypominał raczej wir potoków gwiazd. Nie! Był czymś więcej. Wpatrując się między gwiazdami w odległą ciemność, ujrzałem także – jako maleńkie cętki i punkciki świetlne – inne podobne wiry, inne galaktyki porozrzucane tu i ówdzie w próżni, jedną otchłań za drugą, tak daleko w przestrzeni, że nawet wzrok wyobraźni nie był w stanie znaleźć granic tej kosmicznej, wszechogarniającej galaktyki galaktyk. Kosmos jawił mi się teraz jako próżnia, w której unosiły się z rzadka płatki śniegu, a każdy z nich stanowił osobny wszechświat.

Wpatrując się w najbardziej niewyraźne i najodleglejsze grupy gwiazd w roju wszechświatów, zdało mi się, że dzięki hiperteleskopowej wyobraźni widzę je teraz jako populację słońc. W pobliżu jednego z nich znajdowała się planeta, po której ciemnej stronie wznosiło się wzgórze, na jego szczycie zaś siedziałem ja – astronomowie zapewniają nas bowiem, że w owej niezmierzonej skończoności, którą zwiemy Kosmosem, świetlne linie proste nie biegną w nieskończoność, lecz tylko do swoich źródeł. Po chwili zdałem sobie także sprawę, że gdyby moja wizja uzależniona była od światła fizycznego, nie światła wyobraźni, promienie biegnące ku mnie „dookoła” Kosmosu ukazałyby nie mnie, lecz wszystkie wydarzenia, które zaszły na długo przed powstaniem Ziemi, a może nawet Słońca.

W tej chwili jednak, raz jeszcze oddalając od siebie myśl o tych ogromach, ponownie zacząłem szukać zasłoniętych okien naszego domu, który – pomimo że przenikało go światło gwiazd – był dla mnie realniejszy niż wszystkie galaktyki razem wzięte. Nasz dom zniknął jednak wraz z całą podmiejską dzielnicą, ze wzgórzami i morzem. Zniknęła nawet ziemia, na której siedziałem, a daleko w dole zobaczyłem niematerialny mrok. I ja sam poczułem się jak gdyby bezcielesny, nie widziałem bowiem i nie mogłem dotknąć własnego ciała, a kiedy chciałem poruszyć ręką albo nogą, nic udawało mi się. Miałem wrażenie, że pozbawiono mnie kończyn. Dobrze mi znane wewnętrzne wrażenia cielesne, a także ból głowy, który dokuczał mi od samego rana, ustąpiły miejsca dziwnej lekkości i uniesieniu.

W pełni zdawszy sobie sprawę z zaszłej we mnie przemiany, zacząłem się zastanawiać, czy nie umarłem i nie wkraczam właśnie w jakiś zupełnie nieoczekiwany nowy wymiar istnienia. Taka trywialna ewentualność początkowo wprawiła mnie w rozdrażnienie, a potem z nagłym przestraszeniem zrozumiałem, że jeśli faktycznie nie żyję, to nigdy już nie powrócę do swojego bezcennego, konkretnego atomu wspólnoty małżeńskiej. Zaskoczyła mnie gwałtowność rozpacz, jaką natychmiast poczułem na tę myśl, szybko jednak zdołałem się pocieszyć, tłumacząc sobie, że ostatecznie chyba nie umarłem, lecz tylko popadłem w coś w rodzaju transu, z którego w każdej chwili mogę się obudzić, postanowiłem zatem

nie martwić się bez potrzeby tą tajemniczą przemianą i z dociekliwością uczzonego obserwować wszystko, co się ze mną dzieje.

Zauważyłem, że ciemność, która zajęła miejsce gruntu pod moimi stopami, kurczy się i kondensuje. Nie przebijałem jej już wzrokiem, więc nie widziałem wiszących niżej gwiazd. Po chwili Ziemia w dole zaczęła przypominać blat wielkiego okrągłego stołu – szeroki dysk ciemności otoczony gwiazdami. Najwyraźniej oddalałem się od ojczyznej planety z niewiarygodną prędkością. Słońce, wcześniej widoczne w mojej wyobraźni na dolnym niebie, raz jeszcze zostało fizycznie zaćmione przez Ziemię. Choć teraz znajdowałem się już na pewno setki mil nad naszą planetą, nie przeszkadzał mi brak tlenu ani ciśnienia atmosferycznego, doznawałem tylko coraz bardziej narastającego uniesienia i jakby rozkosznego musowania myśli. Zachwycała mnie nadzwyczajna jasność gwiazd – albowiem czy to wskutek braku osłony atmosfery, czy wskutek mojej wyczulonej wrażliwości, a może nawet z obu tych powodów – niebo przybrało nieznany mi wcześniej wygląd. Gwiazdy niechybnie rozpały się do swoich największych wartości. Niebiosa płonęły, a największe światła przypominały przednie reflektory odległego samochodu. Nie zalewana już ciemnością Droga Mleczna stała się kolistą, ziarnistą rzeką blasku.

Po chwili na wschodnim krańcu Ziemi, znajdującej się daleko przede mną, pojawiła się słaba kreska jasności, która w czasie mojego dalszego lotu rozgrzewała się gdzieniegdzie na pomarańczowo i czerwono. Najwyraźniej przemieszczałem się nie tylko w górę, lecz i na wschód, skręcając w stronę dnia. Zaraz potem ukazało się Słońce, pożerające jasnością olbrzymi rogalik świtu. Lecz gdy pędziłem dalej, Słońce i Ziemia zdawały się oddalać od siebie, a nitka brzasku zgrubiała, przeistaczając się w mglistą smugę światła słonecznego. Smuga ta powiększała się niczym wyrażnie przybywający Księżyc i w końcu oświeciła pół planety. Pomiedzy terytoriami nocy i dnia ciągnął się pas ciepło zabarwionego cienia, szeroki niczym subkontynent i wyznaczający sferę świtu. Lecąc wciąż wyżej oraz dalej na wschód, widziałem, jak lądy skręcają na zachód razem z dniem, aż wzniosłem się ponad Pacyfik i stojąc już w zenicie Słońce.